

Nr. 7. Poznań, dnia 15 Lutego 1879. Rok II.

ANDRZÉJ NIEGOLEWSKI.

(Ciąg dalszy).

Józef Załuski w „*Wspomnieniach o Pułku Lekkokonnym*“ tak pisze o zdobyciu Somo-Sierry:

„Jak skoro Kozietulski otrzymał polecenie cesarza, rozkazał szwadronowi dobyć pałasza i z okrzykiem; Niech żyje cesarz! puścił się zaraz gościńcem pod górę w kolumnie marszowéj czwórkami, ponieważ wązki trakt nie dozwolił nacierać plutonami. Jak tylko rozpoczęło się natarcie, trwało nieprzerwanie, zdobywając pół-bateryę armat jedne po drugich. — Kozietulski mając zaraz z początku natarcia konia zabitego, nie mógł osobiście kończyć zwycięztwa, ale szwadron nie ustawał ani na chwilę, bo tym tylko sposobem armaty nieprzyjacielskie nie mogły nacierających powtórnie razić; wszystko to działo się ile możności w największym pędzie, i w krótkiéj bardzo chwili. Ten co z rekonesansem powróciwszy Niegolewski, ostatni do natarcia przybył, pędząc z zapałem, straciwszy czapkę, a pomijając zabitych i mających konie poległe, wyprzedził wszystkie i padł pod koniem zabitym przy ostatnich armatach zdobytych na szczycie nieprzyjacielskiéj pozycyi, w poczcie już tylko kilku szwoleżerów, tak, że artylerzyści i inni żołnierze hiszpańscy, leżącemu pod koniem Niegolewskiemu zadali ran jedenaście, to jest: dwie kulami karabinowemi w głowę, a dziewięć bagnetami po karku. Tam zginął między innymi i wachmistrz Sokołowski. Natenczas Napoleon widząc cały szwadron Polaków mniéj więcéj poległy, i zwycięzców ostatniéj bateryi w niebezpieczeństwie, kazał plutonowi strzelców konnych będącemu przy nim pospieszyć Polakom na pomoc. Ci odpędzili Hiszpanów, pastwiących się nad zdobywcami ostatniéj bateryi, a tymczasem, po tak impetycznem zdobyciu wszystkich 16 armat przez szwadron jazdy, gdy piechota posuwała się po obu stronach gościńca pod góry, jak się wyżéj powiedziało, całe wojsko hiszpańskie zaczęło pierzchać. Wtenczas to, gdy szasserów kilku nadbiegło Niegolewskiemu na pomoc, kazał Napoleon oddziałom szwoleżerów najbliżéj będących udać się czemprędzéj w pogoń za Hiszpanami, co dopełnił szef szwadronu Łubieński, a za nim i cały pułk nasz pod dowództwem Krasińskiego i majora Dautancourt. Napoleon zaś z całym swoim sztabem wielce zadowolony, postępował razem prawie z nami gościńcem okrytym zabitymi szwoleżerami i końmi, oraz rannymi leżącymi a wołającymi: *Vive l' Empereur!* tudzież armatami hiszpańskiemi, to przewróconemi, to zostawionemi przez pierzchających, — a podziwiając śmiałość, krótkość i skutek natarcia, powtarzał często, obracając się do swego sztabu: *Sont-ils braves ces Polonais!...* co po polsku może się da tak wytłómaczyć: „Co za śmiałość w tych Polakach!“

To jest proste i rzetelne opowiadanie naocznego świadka, który gotowy jest odpowiedzieć na wszelkie zarzuty pisarzów francuzkich, a przyjmie chętnie uwagi jakieby mu żyjący jeszcze koledzy z pod Somo-sierry uczynić za potrzebne uznali: poniekąd oczekuje on takowych od przyjaciół kapitana Romana zmarłego, i od kapitana Wincentego Tedwena żyjącego; bo twierdzenia o jakich czyniliśmy wzmiankę w naszem pierwszem Wspomnieniu nie zgadzają się bynajmniéj z naszem opowiadaniem tego sławnego czynu. Wiemy że tak kolega Roman jak i Tedwen należeli do tego natarcia, ale nie pamiętamy czy, i jak dalece byli ranni. To nam wiadomo z pewnością, że natenczas jeszcze nie byli oficerami, i że Niegolewski porucznik ostatnim był w stopniu oficera, doprowadzający istotne natarcie do końca. Jeżeli więc koledzy Roman i Tedwen, chociaż nie będąc jeszcze oficerami, przybyli po upadku Niegolewskiego ścigać artylerzystów hiszpańskich, którzy się nad nim pastwili, temu nie mamy przyczyny zaprzeczać bynajmniéj, ale to wcale co innego, jak żeby się jednemu z nich należała największa sława natarcia pod Somo-sierrą.

Lubo jak powiedzieliśmy, nie we wszystkich szczegółach zgadzamy się z relacyą Niegolewskiego drukowaną, wszakże wiemy z całym pułkiem, że Kozietulski natarcie rozpoczął, Dziewanowski kapitan, a Krzyżanowski, Rowicki i Rudowski porucznicy życiem przypłacili. Piotr Krasiński kapitan śmiertelnie był ranny, a Niegolewski porucznik padłszy z koniem

zabitym przy ostatniéj bateryi, otrzymał ran 11. Dla tego jego uważamy za celującego działacza w tem słynnem natarciu i prosiliśmy sławnéj pamięci malarza ś. p. pana Piotra Michałowskiego, prezesa rady administracyjnéj miasta Krakowa, żeby pędzlem swoim uwiecznił pamiątkę Niegolewskiego i podał obraz téj bitwy pokoleniom przyszłym."

Z opowiadania tego pokazuje się jasno jak na dłoni, że główna chwała zdobycia Somo-sierry należy się pułkownikowi Niegolewskiemu, który ze swéj strony tak nam opisuje natarcie i zdobycie tego wąwozu:

„Rano, bardzo rano, 30 listopada, kiedy jeszcze wszyscy oficerowie nie byli powstawali, ujrzałem cesarza konno nadjeżdżającego. Porucznik Krzyżanowski jeszcze spał: bardzo trudno mi go było obudzić, oblałem go wodą, lecz i ta ledwo zdołała sen jego twardy przerwać, tak jak gdyby przeczuwał, że to już ostatni sen chwilowy, który wkrótce śmierć bohaterska na wieczny zamieni. Cesarz pojechał w niejakiém oddaleniu na reconnaissance naprzód ku górom. Powróciwszy zsiadł z konia i usiadł na stołku przy ogniu, któren pod drzewem zapalono. Powiadano mi, że w ten czas, kiedy cesarz przy ogniu siedział, jeden z naszych chevau-legerów przedzierał się w pośród orszaku cesarskiego do ognia, by sobie fajeczkę zapalić, od czego w bliskości stojący jenerałowie go wstrzymywali. Cesarz widząc to, miał powiedzieć: laissez le faire.

Chevau-leger fajeczkę zapalił. Jeden z obecnych oficerów miał mu za to kazać cesarzowi podziękować, na co chevau-leger w przekonaniu, że nie napróżno nasi tak blisko gór Hiszpanami obsadzonymi stanęli, powiedział, co ja tu mu mam dziękować, ja mu tam (wskazując na góry) podziękuję.

Czy cesarz teraz już powziął myśl zdobycia wąwozu naszym szwadronem, nie wiem, dość że na dany rozkaz szwadron nasz udał się pod same góry i stanął w kolumnach plutonowych na gościńcu w bliskości przekopu przez Hiszpanów na nim zrobionego, aby tém niedostępniejszy uczynić wąwóz już i tak podług wyobrażeń ludzkich nie zdobyty, a za którym don Benitto San-Juan w pozycyi ze wszech innych stron nieprzystępnéj z swymi 13,000 Hiszpanów obozował. Dla mgły gęstéj, która na krok niczego nie pozwoliła rozpoznać, stanęliśmy prawie przed samemi bateryami hiszpańskiemi, które nas téż kartaczami przywitały. Nie mogąc jednak Hiszpanie nas rozpoznać, nikogo téż z naszych nie ranili. Warczące nad głowami naszemi kartacze spowodowały mnie młodego, żem się do kolegów obok mnie stojących odezwał: ej gdyby byli cokolwiek niżéj wzięli, byliby nas przetrzebili, na co porucznik Runowski powiedział, bądźże cicho, bo nas po głosie mogą poznać. Z pewnością nie spodziewał on się, że za kilka godzin nie jego kartacze w mgle, ale on ich szukać będzie i śmiercią walecznych polegnie, zdobywając armaty, które teraz nas tylko przywitały.

Wkrótce potém kapitan Dziewanowski powołany do jenerała Montbrun, przednią strażą dowodzącego, wraca do nas i pyta się na kogo z oficerów koléj służby, gdyż jenerał kazał wysłać oficera z plutonem na prawo w góry dla powzięcia języka. Naraz dały się słyszeć głosy „kolej na Niegolewskiego." Byłem najmłodszy oficer i dla tego podług zwyczaju wojskowego słusznie czy niesłusznie wszystko, zwłaszcza kiedy był twardy orzech do zgryzienia, na najmłodszego zwalano. Przekonany przecież będąc, że nie na mnie koléj, gdyż kilka godzin com był z reconnaissansu wrócił, powiedziałem to kapitanowi, oświadczając mu jednakowoż, że pomimo tego chętnie pójdę, jeżeli mi pozwoli wybrać sobie żołnierzy. Dziewanowski zezwolił na me żądanie. Wybrałem sobie chwatów za najdzielniejszych w kompanii znanych. Jakie to zuchy były, każden sobie łatwo wystawi kto znał pułk nasz, gdzie już żołnierz w żołnierza był chwat z chwatów, czego późniejsza szarża najlepszym dowodem. Żałuję że teraz po upłynionym prawie pół wieku nie mogę wszystkich wymienić. Pamięci méj tylko są obecni: wachmistrz Wasilewski, podoficerowie Sokołowski, Wojciechowski, żołnierze Stefanowicz, Ryndejko, Norwiłło, Kasarek i Poniński z Wielko-Polski, z pod Gniezna.

Z wybranym tym hufcem udałem się w góry, gdzie drogi nie było i tylko gdzie niegdzie między skałami ścieżki prowadziły. Po nich to po dwa a najczęściéj po jednym koniu przedzierać się trzeba było, a do tego gęsta mgła nic przed sobą rozpoznać nie dozwalała. Nad głowami tylko słychać było gwar ludu, szczęk broni, ale oko nic nie ujrzało. Piękne to położenie patrolu konnego szukającego języka! Rozkaz przecież wykonany być musiał. Nie zważając przeto na położenie tak krytyczne, tylko coraz daléj się przedzierając, nadszedłem nareszcie do wioski, w któréj kazałem kilku żołnierzom z konia zsiąść i o jakąkolwiek żyjącą duszę się postarać. Napróżno, żołnierze powracają z oświadczeniem, że żywego ducha we wsi nie masz. Chcąc nie chcąc szedłem daléj do drugiéj i trzeciéj wioski. Wszędzie pusto, wszystkie domy pootwierane, wszystkich mieszkańców już ztamtąd piechota francuzka z dywizyi Lapissa w swym pochodzie do Sepulweda, gdzie oddziały przedniéj straży Hiszpanów stały, wypłoszyła. W jednéj tylko z tych wiosek napotkaliśmy na stado indyków. Głodni jak byliśmy, ostrząc języki nasze na ich widok chętniebyśmy się z nimi rozprawili i na chwilę o szukaniu języka, gdyby nie położenie nasze, zapomnieli, ale tak musieliśmy się tylko ich widokiem nasycić i daléj ruszać. Przedzierając się coraz daléj, nadszedłem nareszcie do wioski przed którą stała hiszpańska piechota: ilu ich tam było, nie wiem. Byłem ich bowiem tak naszedł, że dla mgły gęstéj ani oni mnie ani ja ich prędzéj nie mógłem rozpoznać, aż dopiero kiedyśmy z krok przed sobą stanęli. Hiszpanie wystrzelili, lecz nikogo nie raniwszy, do wsi w górach skałami otoczonéj wrócili się, dokąd ja ich gonić nie chciałem. Nieświadomemu bowiem pozycyi nie pozostawało nic więcéj, jak zakomenderować, demi tour à droite i w odwrót się puścić. Unikając wszelkiego boju, wracałem tą samą drogą, którą przyszedłem. W odwrocie spostrzegam, że mi z moich żołnierzy Ponińskiego brakuje. Wtém widzę go goniącego mnie, trzymając na karym swym koniu przed sobą Hiszpana z okrzykiem „panie poruczniku, a widzi go pan? szelma Carajo chciał mi uciec, ale go trzymam!"

Nie usłuchał Poniński, żołnierz nadzwyczajnéj siły i nieustraszonéj odwagi, méj komendy do odwrotu, ale wpadł między Hiszpanów, schwycił z nich jednego za kark, wciągnął na swego konia i nie poniósłszy żadnego szwanku przywiózł mi go. Możesz sobie wystawić jenerale mą radość z tak szczęśliwéj zdobyczy w tak trudném położeniu. Hiszpan zaś ze strachu ledwie co oddychając, pada na kolana i woła „Sennor por l'amor de dios ne me mata usted!" Taka to była wojna nasza w Hiszpanii, gdzie ani my przez represalie ani Hiszpanie jeńcom nie przepuszczali, tylko każdego zabijali,

a fanatyzm Hiszpanów posunął ich do okrucieństw podobnych, jakich się na nas murzyni na San-Domingo dopuszczali. Nosy, uszy, języki wyrzynali, co więcéj między dwie belki włożywszy jak deski rznęli. Po wszystkich téż nieomal drogach w pochodzie naszym do Somo-Sierry napotykaliśmy wiszących już to Hiszpanów, już to naszych. Tą razą przecież Hiszpan niepotrzebnie się o swe życie obawiał, gdyż mi nie o wyrwany ale o żywy jego język chodziło. Obawiając się przeto żeby mi ze strachu nie umarł, uspakajałem go jak mogłem i prosiłem żołnierzy, aby go ugłaskali i otrzeźwili. Groźne ich postawy naraz najłagodniejsze przybrawszy miny, Hiszpanowi, to głaszcząc to mu wódkę w usta lejąc, otuchy dodawały. Szczęśliwie nareszcie z zdobytym językiem do szwadronu wróciłem. Oddaję Hiszpana Dziewanowskiemu z oświadczeniem, że Ponińskiemu winien jestem zdobycz, którą sam z szeregów hiszpańskich wyrwał. Kapitan odprowadził jeńca do jenerała i wrócił z żądaniem, abym Hiszpana sam do cesarza zaprowadził. Będąc bardzo zmęczonym i mając do tego popręg, który mi był pękł do naprawienia, prosiłem go aby mnie od tego zwolnił. Sam przeto Dziewanowski Hiszpana do jenerała Montbrun odprowadził, któren go przez adjutanta swego cesarzowi oddał.

Zaradny adjutant sam sobie zdobycz języka, jak mi później powiadano, przypisał i za to krzyżem ozdobiony został a o Ponińskim który później w roku 1810 w Arandzie w pojedynku, których miał bez liku z Francuzami zginął, ani pomyślano. Nawymowniejszy dowód prawdziwości przez Ciebie przytoczonych słów: haec alter fecit, honores alter tulit. Kiedy Francuz wydarł Ponińskiemu wawrzyn przez niego zdobyty, to niechaj pamięć przynajmniéj o nim nie zaginie. Nie podobno téż abym pisząc o Somo-Sierze o nim nie wspomniał. Jego czyn należy z pewnością do tych, które mogły Verneta natchnąć, do obrazów wystawiających chevau-legerów polskich.

Mityczna tylko ich odwaga czyniąc ich prawie idealnymi żołnierzami, mogła malarza natchnąć do ucieleśnienia ich ducha pędzlem.

Trzeba też oddać Vernetowi sprawiedliwość, że w obrazach swoich Grand-Garde de Lanciers Polonais i Lanciers Polonais en Cantonnement, w piękném ciele chevau-legerów piękną ich duszę szczęśliwie oddał; nie dzikość ani brutalne żołdactwo ale przeciwnie łagodność połączona z szlachetną dumą i nieustraszoném męztwem w rysach marsowych, silnych i mocnych, swych żołnierzy wystawiając. Przytém z zamyślonéj ich twarzy widać że pojął artysta uczucia które głąb ich duszy poruszały i do drogi sławy, cudów waleczności dokazując, prowadziły. Oby chevau-legery które nietylko Francuza artystę ale i Polaka natchnęły, który jako godło pod swą ryciną wystawiającą chevau-legera na koniu, trafny i treściwy wiersz umieścił:

„Po całéj prawie ziemi pod obcymi znaki,
Dla swego tylko kraju walczył żołnierz taki.“

znalazły i historyka, któryby ich czyny historyi narodu polskiego przekazał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KLARA.

Powieść
Pauliny z L. Wilkońskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego wieczora poszli znowu do teatru: Klara spojrzała na próżną lożę naprzeciw — i o mało, że nie westchnęła.

Wtém, opodal, dostrzegła młodą kobietę — i poznała w niéj dawną przyjaciółkę z lat panieńskich; córkę sąsiadów rodziców swoich, którą przed laty kilkoma pan Ignacy Doręba, jako małżonkę, w inną uwiózł okolicę.

Klara poszła do jéj loży z Lucyanem. Przyjaciółki uścisnęły się serdecznie.

— Przejeżdżasz zapewne Wandzio? pytała Klara.

— Jadę z mężem do ciotki.

— Mąż twój jest tutaj?

— Wyszedł po afisz.,.

W téj chwili mąż Wandy wrócił — nastąpiło przedstawienie panów.

Klara i Wanda postanowiły w jednéj pozostać loży — a po przedstawieniu udały się obadwa małżeństwa na herbatę do p.p. Trzebiewskich.

Klara dowiedziała się, że pani Wanda ma córeczkę sześcioletnią — która uczy się już u bony — i synka roczniaka, a że dzieci w drogę z sobą wziąść nie mogła, przeto tęskniła za nimi bardzo.

Przyjaciółki miały sobie wiele do opowiadania, zatém Wanda przyrzekła, że jutro z rana przybędzie do kochanéj Klarci na godzin kilka — bo w południe już wyjeżdżają.

Jakóż dotrzymała słowa. Usiadły obiedwie w sypialni Klary na kanapce — i jeneralna różnych różności nastąpiła spowiedź: obiedwie były szczęśliwe; obiedwie dobrych miały mężów, którzy je kochali i których one kochały.

— A jakżeż czas swój przepędzasz? zapytała nagle Klara.

— Niestety! mam go zawsze za mało? uśmiechnęła się Wanda.

— Za mało? A ja mam go za wiele i nudzę się; westchnęła Klara.

— Ja, bo nie nudzę się nigdy!

— Szczęśliwa! Ale cóż poczynasz?

— Opowiem ci wszystko poszczegółowo: zrana po śniadaniu z dziećmi — bo mąż śniada wcześniéj — konferuję z kucharzem, z gospodynią i wydaję na obiad. Popieszczę Janusia i pogawędzę z córką. Potem ubiorę się. Rozporządzę robotą panny służącéj; poczynię różne dyspozycye domowe. — W lecie idę do ogrodu i rozprawiam się z ogrodnikiem, zawsze nastręczy się zmiana jakaś i upiększenie; bo namiętnie lubię ogród. Daléj siadam do fortepianu i pogram z godzinę, gdy Janek bawi się na dywanie. Jeżeli zaś mam coś bardzo zajmującego do czytania, to przeczytam. Poczem zacznę robotę, bo téj przy dzieciach, nie brak mi nigdy. Wreszcie i dla siebie robię stroiki — uśmiechnęła się. — Wróci mąż z folwarku, pożywi się drugiem śniadaniem, spocznie i przeczyta mi coś zajmującego z gazety, Leonka skończy lekcyą u bony, poskacze, gwarzy, bawi się lalką, i z Janusiem. Następuje obiad. Po objedzie gram zawsze, mąż i dzieci słuchają. Potém mąż idzie na drzemkę, Janusia spać położą, Leonka idzie do bony, — a ja, rozporządziwszy co potrzeba, gdy nie mam pilnéj roboty, czytam znowu. Po

kawie, w lecie, siedzę z dziećmi i boną na werandzie. Potém idziemy na przechadzkę. A czasem, gdy konie nie zajęte, Ignaś każe zaprządz i przejedziemy się w pole albo do lasu. A za powrotem reszta dnia spłynie, że ani wiem jak.

— Ależ, Wando, w czasie słotnéj jesieni i w zimie! Te długie wieczory? To i cóż poczynasz?

— Wieczorem zwykle czyta mi Ignaś głośno, gdy robię; albo ja czytam, gdy on pali cygaro. Gram na fortepianie. Czasem zawita sąsiad — i pogramy w preferansa. Wierzaj, kochana, że nie nudzę się nigdy.

Klara skłoniła czoło i stłumiła westchnienie i obraz domowych zajęć, jaki jéj skreśliła Wanda, nie był bez powabu — ale nie było to, o czém marzyć lubiła!

— Czytujesz powieści francuzkie? zapytała przyjaciółki po chwili.

— Czytuję czasem, bo nie chcę w niczem *en arière* pozostać. Lecz przerzucam w książkach, jakby w ulęgałkach... Wyobraź sobie, przystali mi kiedyś Flauberta, *Madam Bovarý*. Czytam i wybornie napisane, drobiazgowo analitycznie, charaktery oddane, jak gdyby zgłębiono dna ich duszy. Potem, potem, Klarciu, porwałam się ze wstrętem i rzuciłam książkę aż do drugiego pokoju. Właśnie nadchodził Ignaś i zdumiony zapytał:

— Wando, cóż ty robisz?

— Rzuciłam kał moralny z obrzydzeniem daleko od siebie — odrzekła.

Ignacy się zaśmiał, książkę podniósł i odesłał z powrotem.

— A sąsiedztwo wasze? zapytała znowu.

— Mamy domów kilka.

— Ale, czy i z wykształceniem ludzi?

— Owszem, jest pan Grzymisławski, wyższéj inteligencyi obywatel; ksiądz proboszcz, mąż nauki i wyższości umysłowéj; pani Wielodworska, wykształcona i miła. Wreszcie są ludzie poczciwi, rozsądni, bez pretensyi do nauki wielkiéj, ale rozumni, z którymi godzin kilka przyjemnie spędzić można. Radzi do nich jedziemy, i radzi witamy ich u siebie. Nie trzeba tylko rządzić się wymaganiami jakiemiś, nie pragnąć stolicy na wsi, — to i wszędzie przyjemne znajdzie się kółko. Potrzeba zawsze brać, co Pan Bóg daje.

— U nas w Sosnowie, jest właśnie brak sąsiedztwa i życia towarzyskiego.

— Powinnaś stworzyć je sobie.

— Czytam wiele.

— Widzę, że i tutaj — pani Wanda podjęła kilka książek ze stołu, i przeczytała tytuły. — I ja, przy całem zajęciu mojem, także dość wiele czytuję.

— Także i po francuzku.

— Zapewne, bo nie chcę zaniedbywać się w niczem.

Klara była rada, że właśnie Flaubert i Feydeau znowu gdzieś tam w areszcie ukryci leżeli.

— Przeczytałam Balzac'a z przyjemnością największą — wymówiła Klara jakby stchórzyła trochę.

— Znakomity to pisarz. I ja czytałam go z zapałem. Ale, narobił on dużo złego; maluje występki zachętnie, ułudnie, i to właśnie porywa, zajmuje. W końcu przedstawia nam prawie sumiennie następstwa smutne i nieszczęsne, czytelniczki jednak więcéj są zainteresowane ułudnemi manowcami, aniżeli nieszczęśliwemi wynikami zbłąkania z toru cnoty i błędu. I ztąd romanse Balzac'a stały się niebezpiecznemi dla młodych kobiet. Romanse angielskie mają to pierwszeństwo, że zapewne nigdy nie zbałamucą moralności, nie obłędnieją umysłu.

— Czytuję czasem i po angielsku, chociaż niedostateczną mam wprawę w tym języku.

Około jedenastéj przybył pan Ignacy po żonę. Z nim i Lucyan, bo gdzieś tam pospołu chodzili. Przyjaciółki pożegnać się musiały — bo pociąg nie czekał.

— Do widzenia!

— Do zobaczenia! — uścisnęły się szczerze.

Po odjeździe Wandy, Klara na chwilę znowu zamarzyła o tém co jéj przyjaciółka opowiedziała, — że to ona nie nudziła się nigdy... Pokręciła głową. Usiadła przy fortepianie i grać zaczęła, — ale nikt nie słuchał, to i po cóż grać miała? — powstała, rzuciła się na kanapę i podumała.... o *Madame Bovary* i ciekawą była téj książki — właśnie dla tego, że ją Wanda potępiła. — Biedna czyliż jéj zły duch nie kusił? — Czyliż nie żywiła chętki: pochwycenia ognia — zeskoczenia z wieży — rzucenia się w topiel? — A to wszystko, jedynie.... z nudów! Bo nie wiedziała, jak czas swój zabić.

O święta praco, ty dajesz pogodę, zadowolenie z samego siebie — i zbawiasz!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nowe gatunki roślin ogrodowych.

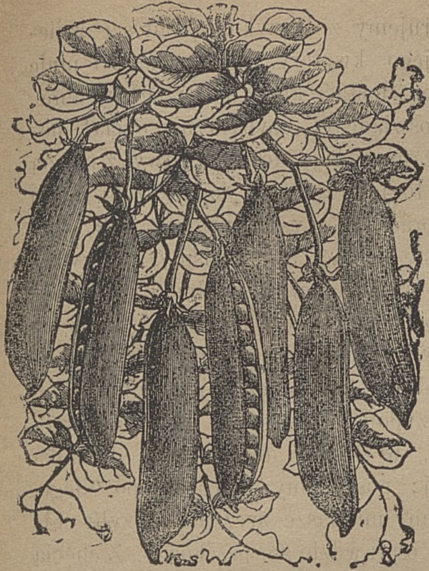
W 5 nr. umieściliśmy w „Lechu" kilka gatunków nowych kwiatów, dziś podajemy kilka nowych gatunków roślin użytecznych, ogrodowych. Trzeba łączyć nadobne z użytecznem — dobrze pielęgnować kwiaty, ale nie zapominać trzeba i o warzywach i innych roślinach, które stanowią cząstkę naszego chleba powszedniego.

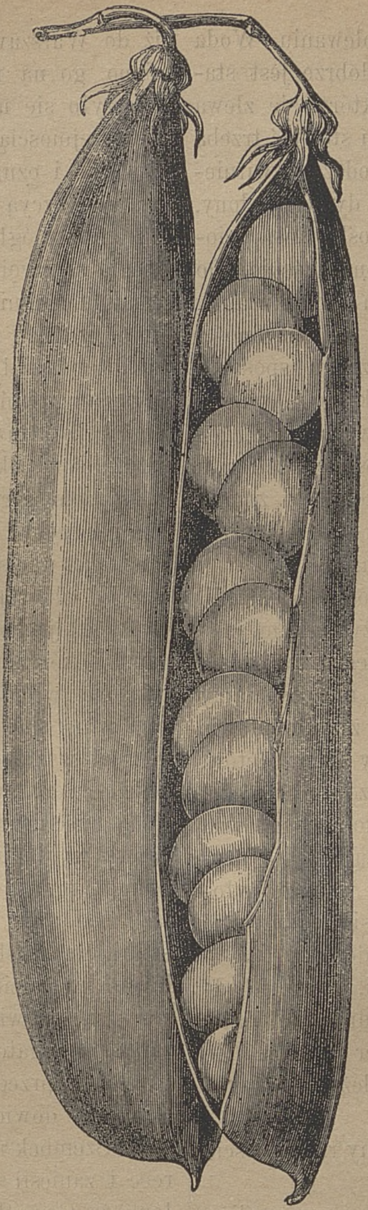
Na 53 str. masz ryciny kilku roślin. W środku rozsiadł się poważnie olbrzymi groch, zwany telefonowym. Nie możemy objaśnić: czy za pomocą tego grochu można dźwięki rozsyłać, ale to pewna że to groch nietylko olbrzymi, ale także smaczny.

Obok na lewo jest groch zwany „Supplanter," dochodzący do metra wysokości, o bardzo delikatnym smaku.

Jako coś niezwykłego polecamy drzewo melonowe (Carica Papaya), ale tylko do chodowania w pokojach lub cieplarniach. Roślina ta wydaje miły zapach, posiada piękne liście, jest podobna do drzewa, a prócz tego wydaje prześliczny złotożółty owoc, który bardzo dobrze smakuje. Już w pierwszym roku dobrze pielęgnowana Carica kwitnie, rosiewając miłą woń, daleko przyjemniejszą, aniżeli kwiat pomarańczowy. Owoc jest bardzo przyjemny i tak delikatny, że go jeść trzeba łyżeczkami od kawy.

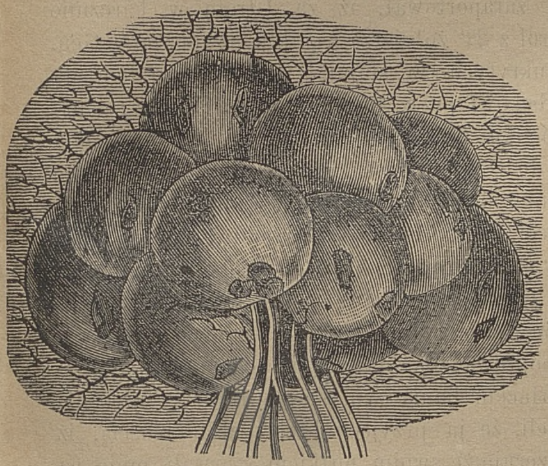
Roślina ta jest pod każdym względem interesująca. Dotąd żadna z naszych roślin kwiatowych nie wydaje owocu, drzewo melonowe łączy z przyjemnością pożytek. Trzeba brać pod tę roślinę dobrą, trochę piaszczystą ziemię zagonową, którą się zwykle w Kwietniu, i po dojrzeniu owoców w Październiku odświeża. Jeżeli nie ma za wiele korzeni wtedy nie potrzeba przesadzać, atoli trzeba podlać dobrze przyrządzonym rozczynem z mierzwy, któryby przywrócił ziemi siłę rodzajną. Latem trzeba czystą wodą podlewać, mniéj zimą, atoli pilnie ba-















Nowe gatunki roślin ogrodowych.

Groch „Supplanter."
Białe kartofle.
Kartofle niespodzianki.

Groch telefonowy.

Drzewo melonowe.
Jarmuż palmowy.
Późne trwałe kartofle.

czyć należy, aby nie było wielkiéj przerwy w polewaniu. Woda może być 30 do 35 stopni gorąca. Latem dobrze jest stawiać melonowe drzewa do zimnego pokoju, który się zlewa wodą, aby powietrze było wilgotne. W pokoju stawiać trzeba na okno, które trzeba często otwierać, tylko podczas kwitnienia unikać należy przewiewu. Podobnie jak dynie, melony, ogórki i t. d. należy drzewo melonowe do roślin dwupłciowych, tj. że są osobne kwiaty męzkie i osobne żeńskie. Do wydania owocu potrzeba, aby się pyłek dwóch tych kwiatów pomięszał. Na wolném powietrzu dokonują téj czynności owady i wiatr, w pokoju trzeba używać sztucznego sposobu. Najlepiéj używać delikatnego pędzla malarskiego i codzień kilka razy pyłki jednoczyć. Męzkie kwiaty tworzą podługowate grona, żeńskie są okrągłe. Liście téj rośliny zastępuje w gorących krajach nasze mydło. Kto z czytelników zajmie się pielęgnowaniem drzewa melonowego, niech będzie łaskaw donieść o skutkach do redakcyi naszego pisma.

Podajemy trzy nowe gatunki polecenia godnych kartofli. Ten duży ziemniak na dole może być bardzo użytecznym, jako późny i nader trwały. Dotąd zwracano najwięcéj uwagi na wczesne gatunki, tak że mianowicie od Marca nie posiadamy dobrych, smacznych kartofli do jedzenia, gdyż zwykle prawie wszystkie gatunki kiełkują i wydają przykry odor łętów. Ziemniaki, o których mowa, trzymają się dobrze do Sierpnia, nie kiełkują wcale, jeżeli są przechowane sucho a co główna smakują jakby świeże. Dla tych powodów należałoby ten użyteczny gatunek perek rozpowszechnić. Kółka rólnicze włościańskie mogłyby w tym względzie wielce się przysłużyć rolnictwu przez czynienie w téj mierze doświadczeń.

Tuż obok na lewo są perki niespodzianki, które się odznaczają wielką plennością, a nad niemi znajdują się białe, bardzo mączyte kartofle stołowe, także nader plenne. Ze względu że teraz kartofle niezawsze dopisują, należałoby zwrócić baczną uwagę na nowe gatunki.

Pozostaje jeszcze jarmuż palmowy, podobny rzeczywiście do palm, zdobiący bardzo ogrody.

Przy téj sposobności zwracamy uwagę na nową roślinę pastewną, rodzaj żywokostu (Symphytum asperrimum). Jestto roślina, która się udaje nawet na lichym gruncie, na dobréj ziemi wydaje 2 do 3 razy tyle co lucerna lub czerwona koniczyna. W zimie nie wymarza, a trwa raz zasiana lat dwadzieścia. Wartoby czynić doświadczenia. *)

Pamiętnik
Rajmunda Bronikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Punkt o godzinie 6téj przybył Gen. Szembek od wielkiego Xięcia Konstantego, przyjęty z krzykiem nie tylko od oficerów swego pułku, ale od wszystkich licznie zgromadzonych między którymi i ja się znajdowałem, a gdy oświadczył, iż do Warszawy pomaszerujemy z okrzykiem radości wniesiono go na rękach do jego kwatery, w téj ciżbie i mnie zdarzyło się na górę do Gen. dostać, który dostrzegłszy mnie, z uprzejmością przyjął i oświadczył, czybym nie chciał poprzedzić i oznajmić, że już mąszeruje do Warszawy, z chęcią tę propozycyą przyjąłem, to jeszcze Gen. dodał, zeby 7miu oficerów mógł z sobą zabrać, którzy na urlopie byli, aby mogli do swoich pułków się dostać. Ruszyliśmy zaraz wraz tymi oficerami naprzód — przyjechawszy z Błonia do Utraty do wjezdnego domu, na gościńcu wysiedliśmy, dowiedziawszy się, iż oddział szwoleżerów polskich, patrol rosyjski, w karczmie na gościńcu się znajduje, dla przekonania, umyśliłem posłać i w tym momencie przypomniałem sobie, iż jadąc, przejeżdżaliśmy około rogatki, w któréj dostrzegłem drożnika z krzyżem legii honorowéj; posłaliśmy spiesznie po niego, skoro przybył oświadczyliśmy mu nasze życzenie i czyby nie chciał na miejsce dotrzeć i o prawdzie się przekonać. Z chęcią przyjął obowiązek ten dopełnić, lecz nie było konia na którym by mógł jechać; szczęśliwem zdarzeniem nadjechał żyd na koniu, któremu konia wzięto i na nim pojechał ów weteran, wkrótce wrócił i zaraportował, iż za Utratą w karczmie stoi w istocie patrol z 21 żołnierza z pułku szwoleżerów Gen. Kurnatowskiego, ukrytych w stajni. Doniosłem o tem na piśmie Gen. Szembekowi przez tego samego weterana; a my daléj puściliśmy się ku Warszawie; w czasie kiedy ja byłem zajęty wysłaniem do Gen. usłyszałem hałas w bilardowym pokoju, przybiegłem i dowiedziałem się od oficerów, iż znalazł się tam oficer, o którym przekonali się, że był szpiegiem moskiewskim, przywitawszy go więc kijami od bilardu, wypędzili. Po tém spotkaniu pojechaliśmy i stanęliśmy szczęśliwie w Warszawie dnia 30 Listopada w nocy, zaraz od rogatek poprowadzono nas do pałacu bankowego. — Na placu przed pałacem bankowym stał pułk 4ty rozłożony, skoro się dowiedzieli, że ja przyjechałem z wiadomością, iż Gen. Szembek maszeruje ze swoim pułkiem, porwali mnie na ręce i zanieśli przed Gen. Chłopickiego; skoro mu oznajmiłem, że Gen. Szembek maszeruje i że go zostawiłem w Błoniu; a po okazaniu papierów dawnéj méj służby wojskowéj i nominacyi na kapitana, zaraz mi dał nominacyą na majora, ja oświadczyłem Gen., że rangi, jakie posiadam, na placu boju zyskałem i że tę, którą mi ofiaruje nie prędzéj przyjmię, aż zasłużę; lecz Gen. mi na to oświadczył, iż mam już zasługę, skoro tu wiadomość o nadejściu Gen. Szembeka przywiózłem — podziękowałem więc za ten zaszczyt.

Nie tylko mnie ale i syna brata mego Romana, który razem ze mną przyjechał, Alojzego Bronikowskiego, mianował porucznikiem, ten tłómaczył się, że nigdy nie był wojskowym, więc nie zasłużył lecz Gen. Chłopicki to samo mu oświadczył, co mnie, i mianował oficerem.

Gdyśmy wracali od Gen. do kwatery, do hotelu Polskiego na długą ulicę, natrafił mnie patrol na ulicy złożony z milicyi; zapytał o hasło, (o które ja wychodząc od Gen. zapomniałem się zapytać), uważał mnie więc za podejrzanego i zaaresztował; szczęściem, że przechodziliśmy około odwachu wojskowego blisko teatru dawnego, kazałem się tam odprowadzić, gdyż wolałem się tam znajdować, niż się pod dozór cywilny dostać. Skoro mnie na odwach i przed oficera stawiono, zaraz oddałem moje papiery. Znajdowało się tam kilku oficerów, którzy mnie poznali i zaraz oświadczyli, iż nie jestem żaden podejrzany, gdyż oni razem ze mną z Błonia

*) Jeszcze raz zwracamy uwagę, że wszystkich tych roślin nabyć można w zakładzie ogrodowym F. C. Heinemann Erfurt. Ceny są umiarkowane np. ta nowa roślina pastewna kosztuje sztuka 40 fen., 10 sztuk 3 marki, pięć ziarnek drzewa melonowego 50 fen, młode roślinki po 1½ marki itd. Najlepiéj zażądać katalogu roślin i nasión.

tu dotąd (do Warszawy) przyjechali; oficer od warty prosił mnie o papiery, mówiąc, że musi je z obowiązku służby do Gen. Chłopickiego posłać. Gdy żołnierz wrócił od Gen. z zapewnieniem, że żadnemu podejrzeniu nie podpadam, z rozkazem, abym był puszczonym, wszyscy oficerowie tam będący prócz tego, co był na warcie, odprowadzili mnie aż do stancyi, zkąd po krótkim pobycie wrócili. — Nazajutrz przysłali mi w podarunku pałasz. —

Wypocząwszy cokolwiek, poszedłem na bank do Gen. Chłopickiego, prosząc go o umieszczenie mnie, chcąc się do którego z regularnych starych pułków dostać, lecz Gen. dał mi odpowiedź, że na to nie może zezwolić, gdyż wszyscy dawniejsi oficerowie muszą być użyci do organizowania nowych pułków. Ja chciałem w niższym stopniu wstąpić i dodałem, że nie jest moją chęcią zasłużonym oficerom miejsce zabierać, ale, że życzę sobie do regularnego pułku się dostać. Na to Gen. również nie przystał, lecz mi zostawił wolność wyboru, do którego chcę się dostać województwa; prosiłem więc, abym się do województwa krakowskiego dostał. Posłał mnie więc do Gen. Małachowskiego, który był organizatorem tego województwa. Gdym przybył, poznał mnie zaraz, byłto ten sam hr. Małachowski z Końskich, który w r. 1809 formował pułk kirasyerów w Krakowie i do którego dawniéj sobie życzył, bym wstąpił. Przyjął mnie uprzejmie i dał mi przeznaczenie udania się w Krakowskie, gdyż już wszystko wygotowane. Szef sztabu Gen. Małachowskiego, pułkownik Zieliński oświadczył Gen. że skoro ja tam jadę, to bym mógł zabrać expedycyą do organizatora województwa Kaliskiego, Biernackiego, to gdy mi Gen. zaproponował, zabrałem z sobą.

Nim z Warszawy wyjechałem, zatrzymałem się niejakiś czas i poszedłem do banku dla przypatrzenia się postępowi działań rewolucyjnych. Już wtenczas Gen. Szembek nadszedł z pułkiem i został Gubernatorem Warszawy. Właśnie też pod ten czas nadszedł Gen. Krukowiecki ze swoim oddziałem, gdy wszedł do banku, Gen. Chłopicki powitawszy go, w te do niego odezwał się słowa: „Generale, miło mi cię powitać, lecz miléj by mi było, żebyś był rychléj nadszedł.“ Na to mu Gen. Krukowiecki odpowiedział: „A mnie byłoby miléj Gen. nie tutaj, lecz na placu boju widzieć.“ Te słowa tak obraziły Gen. Chłopickiego, że wpadł w niepohamowany gniew i w téj zaciętości wyszedł z salonu, gdzie się znajdowali. Xiążę Adam Czartoryski wstrzymywał go za ręce, zawieszony na jego ramieniu a Juljan Niemcewicz u nóg mu leżał błagając, aby swój gniew powściągnął, lecz on nie zważając na obydwóch tych starców, ciągnął ich z sobą z jednéj do drugiéj sali. Będąc przytomnym téj scenie z wielu innemi osobami, podniósłem razem z młodym Nowakowskim z ziemi Niemcewicza, który osłabiony leżał u nóg Gen. Chłopickiego, a Gen. Chłopicki pełen gniewu wpadł do sali szklannéj i tam we drzwiach upadł prawie bez zmysłów. Nowakowski pobiegł po doktora Wolffa a ja po ukończeniu tak przykréj sceny, wyszedłem z salonu.

Na schodach trafiam na drugi wypadek. Złapano Petrykowskiego, majora z 4go pułku piechoty, który był szpiegiem rosyjskim, przyprowadzono go do banku właśnie, kiedy ja ze schodów schodziłem i taki zrobił się natłok, że trudno było przecisnąć się w tym tłumie. Byłem zdjęty ciekawością widzenia tego szpiega, lecz ledwo go dostrzedz było można, nim go bowiem zrewidowano, już jednego włosa na głowie nie miał, wąsy mu powyrywano i nie byłby zdrowy do więzienia doprowadzony, gdyby na głos Xięcia Adama Czartoryskiego, który prosił, aby go tak nie mordowano, nie byli się wstrzymali; na to odezwanie się Xięcia, każdy się zadziwił, że go mógł bronić, lecz skoro Xiąże dodał: „wstrzymajcie się do jutra a będziecie mieli więcéj przyjemności, jak będzie bąblał powieszony“, uspokoił się cały ruch tem zapowiedzeniem, a że trudno go było do więzienia wprowadzić, więc wsadzono go pod schody w banku, lecz i tam nie miał spoczynku, bo kto tylko mógł przez sztachety go dosięgnąć, to go targał a najwięcéj żołnierze z jego pułku, wyrzucając mu jego haniebne postępki i przypominając niegodziwe obchodzenie się z nimi.

(Ciąg dalszy nastąpi)

SZABLA DZIADUNIA.

Nad łóżkiem dziadka wisi szabla krzywa,
Niby stróż-anioł, co spoczynku strzeże;
Starzec nim uśnie, słyszę — nieraz bywa,
Że patrząc na nią odmawia pacierze.

I nieraz z oka, co biegnie do góry,
Łezka, jak perła przeczysta wytryśnie,
Czoło się gładzi, spadają zeń chmury,
I jasny promień w spojrzeniu zabłyśnie.

Gdy w takiéj chwili wesoła dziecina,
Z ochoczym pląsem do dziadka przypadnie
I swoje zwykłe figle rozpoczyna,
Matka na ustach wtedy palec kładnie.

Umilkło dziecię, a patrząc na dziadka,
Jego powagą poważnieje zwolna;
Potem ku niemu zbliża się zukradka
I klęka obok dziecina swawolna.

Na wzór staruszka pacierz poszeptuje
I z pobożnością rączęta zakłada;
Skończył dziadunio, wnuka ucałuje
I temi słowy do niego zagada:

— Widzisz tę krzywą szablicę ze stali?
Jest to najdroższy klejnot mego domu!
Choć nawałnica w gruzy dom obali,
Ze zwalisk może wznieść czoło bez sromu.

Ta broń i moja dłoń twarda, żylasta,
Zawsze gotowa ku słabszych obronie!
Dziś nowy dziedzic dla domu wyrasta —
Zniż się pacholę, złóż obiedwie dłonie.

Niechaj Bóg wtedy, gdy twoje ramiona,
Znieść obowiązków potrafią budowę,
Moc swoję wlewa do twojego łona,
Błogosławieństwo roztacza nad głowę.

Niech owa szabla rdzą wieków pożarta,
A pamiątkami bogata i słynna,
Sądzi dłoń twoją, czyli będzie warta
Podnieść tę szablę wtedy, gdy powinna! —

Tu starzec cicho zapłakał!.. A dziecię,
Patrząc na starą szablicę zukradka,
Młodem marzeniem goniło po świecie! —
Pod oknem cicho modliła się matka.

Gniezno, 23 Stycznia 1879.

Marya Kierska.

Uwagi Krytyczne
E. Calliera
nad
Złotą Księgą Szlachty Polskiéj,
ułożoną i wydaną przez
Teodora Żychlińskiego.
III.
Bniñscy herbu Łodzia.

Zdaje się nie ulegać żadnéj wątpliwości, że Bniñscy wraz z innemi domami, pochodzącemi ze wspólnego gniazda, Bnina, do najstarożytniejszych należą rodzin wielkopolskich.

Nie wszyscy atoli heraldycy zaliczają Łodziców z Bnina do przodków Bniñskich.

Z Kroniki Żałobnéj p. Żychlińskiego, wydanéj r. 1877 w Poznaniu, dowiadujemy się, że „Rodowód Bniñskich, ułożony według aktów grodzkich Poznańskich przez p. J. W. Z (akrzewskiego?) a legalizowany przez królewskie archiwum, sięga po mieczu aż do r. *1360.*" — W Złotéj Księdze zamieszcza pod Bniñskimi Jakóba Łodzica z Bnina r. 1120—1160 i pomiędzy innymi Mirosława Łodzica, kasztelana Bniñskiego, „zmarłego wojewodę Poznańskiego ok. r. 1260," od którego „wprost się wywodzą zarówno żyjący po dziś dzień Bniñscy, jak wygasłe rody Opalińskich Śmigielskich i Moszyńskich Łodziców." Wiadomość tę zaczerpnął p. Żychliński od autora Kilku słów o Przewodniku Heraldycznym, str. 11 i 12, ale mylnie ją powtórzył, jakby czytać nie umiał.

„Tegoż Przedpełka syn, pisze p. Żychliński, a wnuk Hugona, *Mirosław Łodzia, kasztelan Bniński, zmarły wojewodą Poznańskim około 1260 r.*, otrzymał od Przemysława II prawo niemieckie na Bninie, Rogalinie" i t. d.

Niedwuznacznie twierdzi tu nasz autor, że Mirosław, kasztelan Bniñski, zmarł wojewodą Poznańskim ok. r. 1260.

„Również mógł (Kosiński) nie znać dyplomatu, pisze zaś autor Kilku Słów, na przywiedzionem powyżéj miejscu, — w którym Przemysław II nadaje r. 1287 Mirosławowi, kasztelanowi Bniñskiemu, synowi tegoż Przedpełka, *zmarłego wojewodą Poznańskim* około 1260 roku, prawo niemieckie na Bninie, Rogalinie" i t. d.

I niedwuznacznie twierdzi autor ten, „uczony wydawca Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski," jak go zwie p. Żychliński, że Mirosław, kasztelan Bniñski, był synem, zmarłego ok. r. 1260 wojewodą Poznańskim, Przedpełka, a więc sam nie był wojewodą, jak tego chce autor Złotéj Księgi.

Zestawiając nadto datę, w któréj nadanym był przywilej, 1287, z datą śmierci Przedpełka: 1260, przekonać się można o pobieżném traktowaniu rzeczy poważnych przez naszego heraldyka.

Pomijam różnicę dat, jaka zachodzi w Kronice Żałobnéj, w któréj p. Żychliński podaje rok 1360, do którego sięga rodowód Bniñskich, a w Złotéj Księdze, w któréj prócz r. 1260 wcześniejsze jeszcze zachodzą daty.

Autor Złotéj Księgi, powołując się na wydawcę Kodeksu dyplomatycznego, nie uwzględnia, nie wspomina nawet o polemice, jaka się wywiązała z autorem Przewodnika Heraldycznego, a w któréj i Bniñscy stanowią jeden z przedmiotów spornych.

Żżyma się wydawca Kodeksu, że autor Przewodnika, p. Ad. Am. Kosiński, czterech tylko senatorów z rodziny Bniñskich Łodziców, t. j. 4 kasztelanów, w okresie 1450—1831 wylicza, zamiast, jak tego chce wydawca Kodeksu, jednego wojewodę, jednego biskupa i ośmiu kasztelanów, nie licząc w to wyszłych z niéj na samym początku XV wieku rodzin Opalińskich i Śmigielskich.

Na zarzut ten odpowiedział p. Kosiński, co już dawniéj był mówił, że senatorów z epoki Piastowskiéj tych tylko będzie wyliczał, których istnienie i należenie do pewnych rodzin nie ulega kwestyi, i że nie mógł zatem doliczyć do Bniñskich senatorów Łodziców z Bnina.

Nie wiem, którego kasztelana, r. 1450, miał Kosiński na myśli; — może Piotra z Kempy, kasztelana Gnieźnieńskiego, zmarłego r. 1449 podług Kroniki Żałobnéj p. Żychlińskiego. Z własnych zapisków znam senatorów Bniñskich:

1. Wojciecha, kasztelana Kowalskiego, ok. r. 1729,
2. Rafała, kasztelana Śremskiego, ok. r. 1746.
3. Konstantego, kasztelana Elbląskiego, r. 1770 a Chełmińskiego od r. 1772, starostę Murzynowskiego;
4. Aleksandra, senatora-kasztelana, zmarłego w r. 1831.

Autor Złotéj Księgi uważając Andrzeja z Bnina, biskupa Poznańskiego, za „historycznie najznakomitszego Łodzię z Bnina Bniñskiego," podał o nim w streszczeniu, co w Encyklopedyi Powszechnéj dość obszernie opracował Jul. Bartoszewicz. Andrzéj ten, „słynny heretyków pogromca," spalić kazał pięciu Husytów na rynku w Poznaniu.

Prócz wzmianki téj o „najznakomitszym" tym Andrzeju z Bnina, wypełnia p. Żychliński całą swą monografię Bniñskich samemi zapiskami genealogicznemi, pokazując w perspektywie obszerniejsze tegoż przedmiotu opracowanie w późniejszych Rocznikach Złotéj Księgi. Przy téj sposobności niech mi wolno będzie przytoczyć, dla wiadomości p. Żychlińskiego, słów kilka, wyjętych z Kosińskiego Odpowiedzi.

Mógłby ktoś „wnioskować, pisze on, że monografie w Przewodniku zamieszczone ograniczają się wyłącznie na wywodzie pochodzenia rodzin; tak przecież wcale nie jest, bo podrzędną mi rzeczą, że się tak wyrażę, kto rodzi jaką rodzinę, lecz czy ta wywiązała się z obowiązków dobréj córki Ojczyzny; wykazanie zatem jéj zasług, ale nie tajenie błędów, podanie potomności jéj pamiątek, wyliczenie jéj rozrodzenia, oznaczenie przemian losowych, jakim ulegała, — jednem słowem, — jéj dzieje, były moim celem, a nie oznaczenie jéj protoplastów, zwłaszcza z czasów, w których, dla braku dostatecznych materjałów, podobne wywody były, są i będą zawsze niepodobnemi"...

Podobnem zapatrywaniem rządził się Stupnicki w układaniu swego Herbarza, do którego dołączył imionospis zasłużonych osobistości, nie należących do Stanu rycerskiego.

Nie żądam tego od Złotéj Księgi, któréj złote karty mogłyby się zarumienić lub zakrwawić przy tem lub owem nazwisku, zapisanem na mogile poległych za Kraj, zawieszonem na szubienicy, lub wyrytem na zimnym głazie wśród Sybiryjskich lodów; — ale pragnąłbym z jéj monografii dowiedzieć się czegoś więcéj nad to, kto kogo rodzi.

Zastanowienia godném co do Bniñskich jest ta okoliczność, że Niesiecki powołując się na Okolskiego i wykazując tegoż nazwiska Jastrzębców, wymienia Mikołaja z Bnina Bniñskiego, chorążego Podlaskiego, r. 1570.

Ztąd wypadałoby wnioskować, że Bnin nie był wyłącznem gniazdem Łodziców i t. d.

Co do nazwiska Andrzeja z Bnina, biskupa Poznańskiego, odsyłam Czytelnika do uwagi p. Bobrowicza, dopełniacza Niesieckiego; przechyla się on ku policzeniu tegoż biskupa do Bniñskich raczéj aniżeli do Opalińskich. W żywotach biskupów Poznańskich Długosza, wydanych i uzupełnionych przez Tomasza Tretera w r. 1604, czytam kilkakrotnie i wyraźnie: — „Andrzéj Bniński." Pomimo to, nie uwzględnił okoliczności tych p. Kosiński i nie policzył tegoż Andrzeja do senatorów z rodziny Bniñskich Łodziców. —

Zasłuży się p. Żychliński piśmiennictwu naszemu, jeżeli w przyszłym Roczniku Złotéj Księgi poda nam treściwszą nieco monografię Bniñskich, zwłaszcza wymienionych powyżéj kasztelanów, nie zapominając atoli o tem, że ok. r. 1570 Bniñscy „przodowali"! *) nowowiercom wraz z Zborowskimi, Tomickimi, Górkami i Myszkowskimi.

O współczesnych hr. Adolfie, Ignacym, Konstantym i Romanie, politycznie „skompromitowanych" nic nam autor Złotéj Księgi nie powie ze względów na Cenzurę Warszawską.

Natomiast, niech rozpisze się o Łukaszu Bniñskim, sędzim ziemskim Poznańskim, rotmistrzu kawaleryi Narodowéj, orderów polskich kawalerze, marszałku Konfederacyi województw Wielkopolskich, pośle na sejm polski i hrabi pruskim.

*) Morawski, Dzieje, II, 468.

„Lech" wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 2 marki, roczna wprost w redakcyi 8 marek, dla Austryi 5 złr., dla Ameryki 3 dolary. W Poznaniu dla tych, co sami w ekspedycyi (ul. Wodna nr. 15) odbierają, ćwierćrocznie 1 m. 50 fen. Listy dochodzą pod adr. *Lech Poznań.*

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.